

# Nie tylko dla dziewcząt

## – studyjne albumy A-ha z lat 1985-2015

Norweski zespół A-ha bywa oceniany niesprawiedliwie. Trio złożone z samych przystojniaków, wykonujące sentymentalną muzykę, traktowano często jak boysband. Tymczasem twórczość sympatycznych panów okazuje się ambitna, świadoma oraz uporządkowana konceptualnie i harmonicznie. Teksty były pisane starannie, a produkcja – jak na tamte czasy – doskonała.

**Michał Dziadosz**

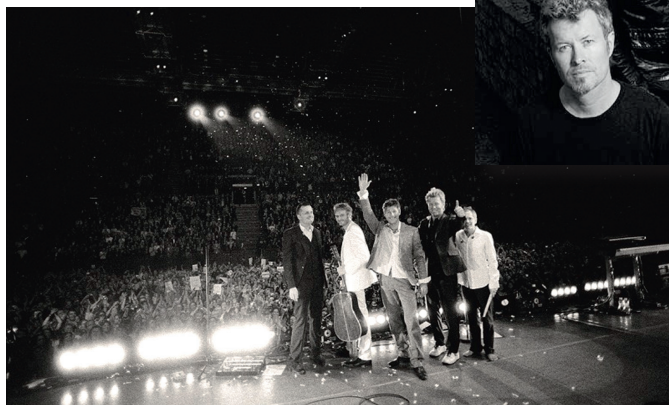
**P**ięćdziesiąt milionów sprzedanych płyt to niezły wynik, a 250 milionów wyświetleń na YouTube największego hitu „Take on me” budzi uznanie młodszego pokolenia. Dodatkowo obyło się bez narkotyków, alkoholu, skandali czy nadmiaru dziewczyn. Powstało za to dziesięć, w większości dobrych, płyt, a trzydzieści lat obecności na rynku to nie przelewki. Nieważne, że z przerwami.



W 1983 roku dwóch Norwegów – klawiszowiec Magne Furuholmen i gitarzysta Paul Waktaar, którzy znali się wcześniej z zespołu Bridges – postanowiło stworzyć coś nowego. Wkrótce dołączył do nich wokalista Morten Harket. Panowie wyemigrowali do Londynu i zainteresowali swą twórczością koncern fonograficzny WEA. Potraktowano ich poważnie i nie szczędzono środków na produkcję i promocję. Nic by się jednak nie udało, gdyby muzykom zabrakło solidnych podstaw oraz talentu.

## Na klifach Waldorfa

Debiutancki album A-ha, „Hunting High and Low”, dowodzi, że mamy do czynienia z zimnym zawodowstwem. Wyraźnie słychać brak kompromisów, a koncepcja utworów, klimatu i produkcji jest czytelna i konsekwentna. Płyte otwiera wspomniane „Take on me”. To znakomita piosenka, z przemyślanym tekstem i syntezatorowym riffem, będącym klasą samą w sobie. Mało kto wie, że znajdująca się na krążku wersja utworu to tak naprawdę remiks singla z roku 1984. W oryginale sprzedał się jedynie w trzystu egzemplarzach, a w nowej odsłonie rozświetlił grupę na wieki. Choć otwierający album przebój potencjałem komercyjnym zgniata pozostałe kompozycje, płycie nie sposób odmówić spójności. Z wyjątkiem tragicznie pościelowego „And you tell me”, mamy do



czynienia z bardzo dobrymi kompozycjami. Najpiękniejsza jest jednak tytułowa „Hunting High and Low”. Aż trudno uwierzyć, że niby popowy zespół, kojarzony głównie z MTV, postanowił na swoim debiucie zamieścić coś tak lirycznego i progresywnego.

Członkowie A-ha udowodnili, że pierwsza płyta nie musi razić nieokrzesaniem. Ich została bardzo dobrze wyprodukowana i zbalansowana. I choć z dzisiejszego punktu widzenia może nieco brakować głębokiego basu, nadal słucha się jej świetnie. Nad przestrzenną całością dominuje niepodrabialny głos Mortena Harketa i chłodne brzmienie syntezatora Waldorfa.

## Chłodnawa fala

Wydany rok po debiucie „Scoundrel Days” okazuje się zaskakująco mroczny, celowo przybrudzony, a chwilami rockowo zniekształcony. Wokal nie jest już tak kryształowy i wyeksponowany. Pojawia się zdecydowanie więcej gitar, a sekcja brzmi bardziej naturalnie, choć nadal działa automat. Pasma są niemal kompletne, bas mniej punktowy, ale „bliższy krwiobiegowi”. Nadal słychać syntezator Waldorfa, choć jego brzmienie zdaje się nieco cieplejsze i bardziej zróżnicowane. Słuchacz odnosi wrażenie, że zespół koniecznie chciał się odciąć od łagodności i popłynął w stronę interesującej wypadkowej rocka, chłodnej fali, a momentami nawet punku. Nie oznacza to, że mimowolnie nie nawiązuje do wątków popowych. Tyle że teraz jest to pop o wiele bardziej emocjonalny, gorzki, choć nadal dobrze skomunikowany z radiową estetyką.

Trzy pierwsze kompozycje porywają. Bywa hałaśliwie, ale to nieistotne. „Scoun-



dziej uniwersalna, a tak otrzymujemy głównie ładną pocztówkę z lat 80.

## Pop albumowy

Wydany w 1988 roku album „Stay on These Roads” to najlepsza pozycja A-ha z lat 80. i chyba najlepsza w całej dyskografii. To właśnie z niej najwięcej utworów trafia na składanki typu „The Best of”. Znajdziemy tu „Touchy”, „You Are The One”, „The Living Daylights” (napisaną specjalnie do piętnastego odcinka przygód Jamesa Bonda), a przede wszystkim kompozycję tytułową, należącą do najbardziej rozpoznawalnych w twórczości zespołu.

Album jest niezwykle dojrzały i równy, choć zawsze zdarzy się jakiś wyjątek. Trudno zrozumieć ideę zamieszczenia na tak dobrej płycie tak złego utworu jak „You’ll End Up Crying”, chociaż... może to celowy zabieg, bo przy nim wszystkie pozostałe wypadają lepiej. Na szczególną uwagę zasługuje „The Blood That Moves The Body”. Chyba nawet Frank Zappa ze swo-



drel Days”, „The Swing of Things”, „I’ve Been Losing You” to prawdziwe killery. „October” wycisza słuchacza emeryckimi motywami, ale tylko dzięki temu nie oszalejemy ze szczęścia. Za chwilę bowiem pojawiają się trzy hity: kontrastowy „Manhattan Skyline”, spójny ze swoją epoką „Cry Wolf” i podobny w klimacie, ale o wiele bardziej atrakcyjny formalnie „We’re Looking For The Whales”. Album zamykają trzy kompozycje stopniowo wytracające prędkość i intensywność środków.

To bardzo udana płyta, choć brzmieniowo traci względem debiutu. Mogłaby być bar-

im szalonym bandem chętnie by ją wykonywał.

Płyta brzmi świetnie. Oczywiście, aranżacyjnie i dźwiękowo jesteśmy w latach 80., ale biorąc pod uwagę datę wydania – nic w tym dziwnego. Z instrumentów wyróżnia się słynny Roland D50, który w dużej mierze został rozświetlony właśnie dzięki temu albumowi. Obok Korga M1 i Yamaha DX7 (która również jest tutaj obecna) to najsłynniejszy instrument klawiszowy tamtych lat. Na kilku koncertach Magne Furuholmen zakleił prawą nóżkę litery „R” i wielu fanów myślało, że gra na syntezatorze marki „Poland”. Nie wiem, czy był to

żart, czy ukłon w stronę budzącej się wówczas u nas demokracji, ale polskiej duszy może się zrobić miło.

## Romantyzm de luxe

Rok 1990. Gromieni przez krytyków Norwegowie dobrze wiedzą, że czas wyjść z poprzedniej dekady. Robią wszystko, by tak się stało. Tytuł płyty, nawiązujący do narodowej baśni „East of the Sun and West of the Moon” (org. Østenfor sol og vestenfor måne), ma uniwersalne znaczenie, ale przypomina również, skąd pochodzi A-ha.

Aranżacje nabierają jeszcze więcej życia. Pojawia się prawdziwa sekcja rytmiczna, przez co zmienia się motoryczna struktura utworów. Jest mniej punktowo, choć nadal precyzyjnie, ale na pewno też zdecydowanie rockowo. Tak samo z gitarami. Jest ich o wiele więcej niż na poprzednich płytach. Akustyczne przeplatają się z elektrycznymi, choć w przypadku tych drugich pozostajemy w sferze delikatnych stratocasterów. Dodatkowo tę bardziej rockową dynamikę wspierają subtelne hammondy. Co by jednak nie mówić, to po prostu pop w bardzo dobrym wydaniu. Momentami poszukujący, symbolicznie nawiązujący do jazzu, bluesa, rocka, ale jednak pop.

Otwierający album „Crying in the Rain” to cover, oryginalnie wykonywany kilka dekad

już na zupełnie innej imprezie. Był to bowiem czas królowania Nirwany, Pearl Jam, Guns’n’Roses i tego wówczas słuchała młodzież. Nie pomogło radykalne odświeżenie wizerunku. Morten Harket zapuścił włosy i zrobił się na „motocyklistę-Indianina”. Wyglądał przystojnie jak zawsze, śpiewał cudownie, ale dziewczyny wołały posklejane włosy i skrzeczący głos Axla Rose’a. Przykre to, bo płyta jest niezwykła pod każdym względem. Owszem, zespołowi można zarzucić, że próbuje grać w stylu amerykańskim. Że żyzna z U2, a sekcję oraz rozwiązania rytmiczne kopiuje z Petera Gabriela, ale dziś to naprawdę nie ma znaczenia. Materiał wytrzymał próbę czasu i w 2016 roku nadal słucha się go znakomicie.

Właściwie nie ma tu złych utworów. Wyróżniają się przebojowy „Dark is the Night for All”, gabrielowski, motoryczny „Move to Memphis” i bluesowy „Lamb to the Slaughter”. Osobliwość tego ostatniego polega na tym, że jest przy okazji bardzo... crimsonowski. King Crimson jednak zagrają tak dopiero za kilka lat. Może więc „Memorial Beach” chwilami przeskakuje swoją epokę?

Niestety, brak komercyjnego sukcesu doprowadził w 1994 roku do rozpadu grupy. Nowych fanów nie przybywało, a krytycy

pod szyldem A-ha i pamięć o sukcesach z przeszłości ostatecznie jednak zwyciężyły. Kiedy publiczność entuzjastycznie przyjęła występ A-ha na rozdaniu nagród Nobla w 1998 roku, zespół odzyskał wiarę w siebie. Dwa lata później nagrał nową płytę. Już na kompletnym luzie, bez kompleksów, ale z ogromną klasą.

## Twardy reset

Wydana w roku 2000 „Minor Earth Major Sky” nadal robi wrażenie. Miło jest usłyszeć A-ha po mocnym liftingu, ale też stwierdzić, że zespół wciąż jest sobą. Kompozycje nie są tak porywająco liryczne, jak na początku, ale naprawdę nie jest źle. Harket nie stracił głosu; nie śpiewa jak stary dziad. Jego niesamowita skala i swoboda przechodzenia od niskich rejestrów tenorowych do falsetu nadal budzą uznanie. W „Summer Moved On” wokalista bije rekord Guinnessa, trzymając (bez komputera) dźwięk przez 20,2 sekundy. A wydawało się, że dłużej niż w „Stay on These Roads” już się nie da.

Produkcja jest bardzo nowoczesna, ale nie ma mowy o przesadzie. Zespół zadbał o idealny balans składowych. Z pomocą przyszły współczesne metody rejestracji, ale to nie dehumanizuje. Otrzymujemy A-ha przetłumaczone na język współcze-



wcześniej przez Everly Brothers. Tak bardzo jednak zrosł się z A-ha, że większość współczesnego świata myśli, że to utwór Norwegów. Dalej też jest bardzo dobrze. Uwagę zwracają „Early Morning” oraz „I Call Your Name”. Ten ostatni zapowiada stylistyczną wolę, do której dojdzie na następnej płycie.

## Impreza przeniesiona

O ile „East of the Sun and West of the Moon” było uroczym, choć nieśmiałym krokiem w nową dekadę, o tyle wydany w roku 1993 „Memorial Beach” jest już silnym kopniakiem w drzwi branży muzycznej. Problem w tym, że w opuszczonym budynku nikogo nie było i mało kto zauważył aspiracje zespołu. Wszyscy znajdowali się

nie zostawiali na zespole suchej nitki. Traktowali go jak obciachowy relikwiarz minionej epoki, a nie zapominajmy, jak lata 80. były wówczas odbierane.

## Nagroda Nobla

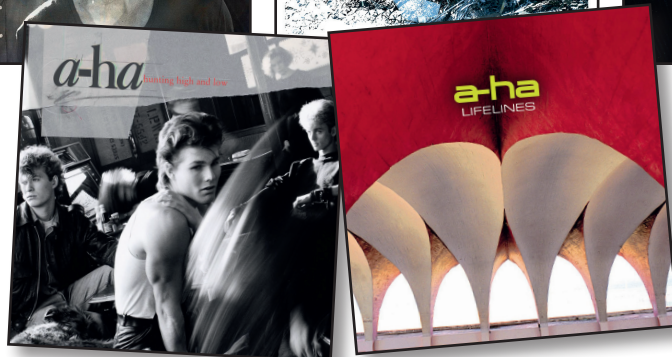
Po rozstaniu członkowie A-ha poświęcili czas na solowe projekty, rodziny, biznes i zainteresowania. Głód występów

ności. Przystajemy zwracać uwagę na składniki, a przenosimy uwagę na całość.

Kompozycyjnie nie ma wyraźniejszych nawiązań do przeszłości. Tak jakby ona nie istniała, a zespół

zresetował pamięć. To chyba największa siła krążka. Jest spójny, równy i konsekwentny.

Radio bardzo polubiło wspomniany „Summer Moved On” oraz tytułowy „Minor Earth Major Sky”, co przełożyło się na sukces komercyjny (platyna w Norwegii i Szwajcarii). Pod naszym polskim niebem również zrobiło się o zespole dość głośno, a stacje radiowe do dziś grają niektóre sin-



gle promocyjne. Prócz wyżej wymienionych uwagę zwraca „Velvet”. To chyba najpiękniejsza kompozycja na tym udanym albumie.

## Opuszczona garda

„Lifelines” z 2002 roku to przyjemna płyta, ale nie ma nawet startu do poprzedniej. Zespół wyraźnie stracił czujność, zakładając, że współczesny słuchacz przyjmie wszystko, co mu się wciśnie. Album zawiera, co prawda, kilka dobrych kompozycji, jak choćby „Forever not Yours” czy utwór tytułowy, ale większość to muzyka „do windy”. W kategorii słabej formy wszystko bije na głowę „You Wanted More”. To jak połączenie twórczości Enrique Iglesiasa z festiwalem piosenki żółnierskiej w Kołobrzegu.

Producenci przesadzili z basem. Na wyzerowanych ustawieniach jest zbyt głośny, a gdy przykręcić regulator barwy, robi się ubogo.

Krytycy na świecie przyjęli tę płytę bardzo dobrze, ale to chyba głównie dlatego, że było im głupio z powodu niesłusznie ganionych, a tak naprawdę znakomitych albumów A-ha z przeszłości.

## Rock samochodowy

Na szczęście, na wydanej w 2005 roku płycie „Analogue” zespół przebudza się z letargu. Brzmienie się ożywia i staje bar-

do tych, które pełnymi garściami czerpią ze spuścizny lat 80. XX wieku. Otrzymujemy A-ha, które brzmi nieco jak Keane, trochę jak Two Door Cinema Club, odrobinę niczym Passion Pit, a może nawet The Killers? Ale nie jest to zadyszka oldboyów. Norwegowie zwyczajnie rozumieją współczesność – tak dobrze, jak niemal zawsze im się to udawało. Jednocześnie pamiętają o swoim rodowodzie – syntezatorach, melodii i przestrzeni. Znowu są sobą i znów w bardzo nowoczesny sposób.

Warto zwrócić uwagę, że zespół próbuje w pewnym sensie zacząć od nowa. Czyni to w sposób bardziej lub mniej udany, ale niezmiennie świeży i szczerzy. Przy żadnej płycie, może poza „Lifelines”, nie odnosimy wrażenia odcinania kuponów. Nie inaczej jest w przypadku „Foot of the Mountain”. To bardzo rześki album i najlepsza, obok „Minor Earth Major Sky”, studyjna płyta A-ha pierwszej dekady XXI wieku.

## Oszustwo

Choć tekst traktuje o studyjnych albumach A-ha, warto wspomnieć o niezwykłym (teoretycznie pożegnalnym) koncercie z 2010 roku. Występ ukazał się pod tytułem „Ending on a High Note” jako CD i DVD. Niezależnie od wersji, jest to rzecz absolutnie godna polecenia. Nawet dla słu-

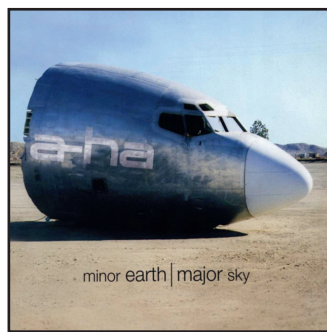
## Happy end?

Nakupowałem znajomym w prezencie DVD z „ostatnim” koncertem, symbolicznie żegnając się w ten sposób z A-ha i tłumacząc każdemu, że to koniec pewnej epoki. Że Norwegowie rozstali się z nami z niezwykłą klasą i wdziękiem... Po czym pewnego dnia kumpel poinformował mnie, że „tatusiowie” właśnie ruszają w trasę i będą nagrywać kolejną płytę. Zawsze w tego typu sytuacjach pojawia się pytanie, czy jest sens? Na szczęście, w tym przypadku – jak najbardziej.

Rezurekcyjny „Cast in Steel” z 2015 roku to skrzyżowanie poprzedniej płyty z „Minor Earth Major Sky”, a może po prostu kontynuacja „Foot of the Mountain”, tyle że mniej elektroniczna, a bardziej przestrzenna i akustyczna. Na początku nie robi piorunującego wrażenia, jednak po dziesiątym wysłuchaniu zaczyna do nas docierać, że jest to naprawdę piękna i dojrzała muzyka. Nikt dziś nie wie, czy to naprawdę pożegnalna płyta, czy początek nowego etapu twórczości. Jednak na pewno pierwsze trzydziestolecie oficjalnej działalności wymaga podsumowania, co z przyjemnością poczyniłem na łamach „Hi-Fi i Muzyki”.

## Wersje ekskluzywne

Oprócz oryginalnych japońskich wydań premierowych warto się zaintere-



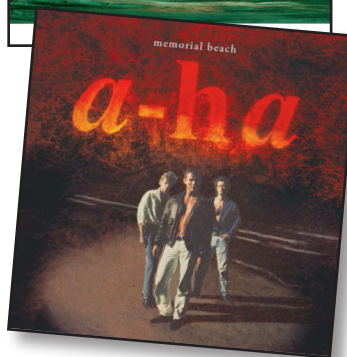
dziej naturalne. Być może panowie zmęczeni się elektroniką z poprzednich dwóch albumów i postanowili nagrać coś bardziej analogowego. Chciałbym wierzyć, że materiał rejestrowano tradycyjnymi metodami. Jednak nie jest to tak bardzo istotne, bo brzmi bardzo dobrze, choć nie brakuje fragmentów hałaśliwych i tłumionych przez limityery.

Ogólnie to równa i spójna produkcja. Brakuje może wyrazistych utworów singlowych, ale całość imponuje konsekwencją i równowagą.

## Być własnym ojcem

„Foot of the Mountain” z roku 2009 to pomost pomiędzy tym, co stare, a tym, co nowe. Nowoczesna produkcja nawiązuje

chaczy, którzy koncertowe płyty omijają szerokim łukiem. To A-ha w nowej odsłonie – bardziej dynamicznej, rockowej, choć wciąż eleganckiej i uśmiechniętej. Nawet stare utwory, do których syntetycznego brzmienia wszyscy się przyzwyczaili, brzmią świeżo. Do niezwykłości można zaliczyć fakt, że nie jest to klejona kompilacja najlepszych występów, a jeden koncert, który odbył się w Oslo 4 grudnia 2010 roku. To piękne pożegnanie na ojczyźnie z fanami, którzy zjechali z całego świata. Zaraz, pożegnanie? Jakie pożegnanie?



sować serią „Super Deluxe Edition”, wypuszczaną (miejmy nadzieję, że regularnie) od 2015 roku. Album „Hunting High and Low” doczekał się na przykład wersji aż pięciopłytywowej. Prócz znanego materiału, zremasterowanego i dostępnego w opcji 24 bity/96 kHz, otrzymujemy liczne remiksy, wersje rozszerzone oraz krążek z teledyskami promującymi oryginalne wydawnictwo. Istnieją jeszcze remastery z poprzednich lat, jednak już nie w tak bogatych wariantach i ze standardowym próbkowaniem. Ukazywały się w latach 2000 – 2010. Najczęściej występują w wersjach 2CD.